

Między groźbą a nadzieją

BRONISŁAW GEREMEK

[...]

Właśnie w moim pokoju podpisywany był apel intelektualistów 20 sierpnia 1980¹. To, co doprowadziło do tego 20 sierpnia, to przede wszystkim: ogromny szok psychologiczny przebiegiem strajku lubelskiego oraz bardzo uważna obserwacja tego, co się działo w Gdańsku. Myślę, że środowisko warszawskie wykazało, także dzięki obecności w stoczni warszawskich dziennikarzy, wrażliwość i ostrą świadomość. Nie zawsze tak było w historii PRL. Czasami postawy różnych społecznych środowisk jakby się rozmiękały. A w tym przypadku było odwrotnie. To bardzo ważne. Wystąpiliśmy jako duże, zorganizowane grono, składające się z różnych ideowych rodzin. Pierwsza inicjatywa wyszła ze środowiska Towarzystwa Kursów Naukowych. Spotkanie tej inicjatywy z dorobkiem grupy DiP-u [Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość] było startem dla postawy, że „coś tu trzeba zrobić”. Spotkali się przy tym ludzie z tak różnych środowisk, że dzisiaj niektóre nazwiska podpisujących zadziwiają jeszcze bardziej niż wtedy.

Przed wszystkim miałem wówczas świadomość, że jest to sytuacja groźna. [...] Bardzo poważna. Taka mianowicie, że są dwie strony konfliktu, tak zaangażowane i w tak zapaśniczym ucisku, że staje się to sytuacją kliniczną. Inicjatywa apelu intelektualistów polegała na tym, że miał on być skierowany do obu stron. Do robotników i do władzy. I kiedy zgodnie z intencją subskrybentów przekazaliśmy list do KC na ręce Gierka, a drugi mieliśmy zawieźć do strajkujących robotników, intencją było przede wszystkim ostrzeżenie. Myślę, że ten element ostrzeżenia został ze strony części władzy tak właśnie odebrany. Mówię „części” dlatego, że w kil-

ka godzin po oddaniu tego listu w sekretariacie [...] miałem rewizję w domu i wielogodzinne przesłuchanie. Natomiast w ówczesnych wystąpieniach Gierka odnalazły się myśli i zdania z listu intelektualistów.

[...]

Zaczyna się strajk w Gdańsku. Z tego, że dzieje się tam coś bardzo wielkiego, zdałem sobie sprawę dopiero po kilku dniach... [...] Myślę, że to było około 17 sierpnia, po 4 dniach, kiedy pierwsze relacje zaczęły z Gdańska dochodzić. Były to relacje m.in. dziennikarzy, które przekładały analizę zjawisk politycznych na język ludzkich konkretów, które z daleka trudno było zrozumieć i wyczuć ich odmienną jakość. Jadąc do Gdańska, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z absolutnej wyjątkowości tej sytuacji, z rozwoju strajku gdańskiego, tego tworzenia struktur i klimatu, jaki w stoczni i w Trójmieście zapanował.

Ani przez chwilę nie jechałem tam z nastawieniem, że robotników trzeba uspokajać. Ani przez chwilę. Mieliśmy jechać od razu w szerszej grupie, a pojechaliśmy z tym listem we dwójkę – Tadeusz Mazowiecki i ja. Pamiętam, że w tych wstępnych dyskusjach jeden z kolegów wahał się, czy z nami pojechać i powiedział: – No, ja mogę ograniczyć się tylko do roli listonosza. List został zanieiony do jednej strony, teraz zawieziemy go do drugiej strony. Czy do tego ograniczy się nasza rola?

Wtedy o udziale doradców nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, w ogóle nie było takiego pomysłu. Sądzę, że nikt z naszych rozmówców, a rozmowy te dobrze pamiętam, nie myślał o czymkolwiek w tym rodzaju. Już w momencie, kiedy zastanawialiśmy się nad słowami listu, to w wewnętrznych naszych dyskusjach wracało stale, że to nie jest tak, że są dwie strony, a my jeste-

¹ Tę mało znaną relację Bronisława Geremka opracował Wojciech Adamiński. Po raz pierwszy została ona wydrukowana w 1986 r. w wydawanym przez Bohdana Cywińskiego w Szwajcarii czasopiśmie „Widnokrąg” nr 3/4. Tekst publikujemy z niewielkimi skrótami i z nowym tytułem. (red.)

śmy pośrodku... Otóż my jesteśmy po jednej stronie. Po stronie gdańskich robotników – jeżeli takie właśnie są te dwie strony. Natomiast będąc po tej jednej stronie, występujemy z próbą analizy sytuacji, mówimy też do władzy, która nie ma zaufania do ludzi podpisujących ten list. Myśmy sądzili, że samemu przekazaniu naszego głosu powinna towarzyszyć praca analityczna, to znaczy próba zastanowienia się nad sytuacją. I pamiętam odpowiedź Mazowieckiego, kiedy jeden z naszych rozmówców powiedział o roli listonosza: – No nie, my musimy tutaj liczyć się z tym, że albo oddamy list i na tym się nasza rola skończy, albo też jeszcze coś dla nas się znajdzie do zrobienia i wtedy trzeba będzie to zrobić tam, na miejscu.

Zatem z takim właśnie nastawieniem jechaliśmy [...]. Sądzę, że w gronie, które podpisało list intelektualistów, postawa, że robotników trzeba uspokoić, bo idą za daleko – mogła być obecna, ale była to postawa raczej niewyrażająca klimatu naszego działania. Klimatem tym było poczucie zagrożenia, że jednak interes społeczny jest wartością nadrzędną, że nawet jeśli władza nie chce tego zrozumieć, to naszym obowiązkiem jest jej to powiedzieć. Natomiast jesteśmy razem ze stroną robotniczą, trzeba wspólnie myśleć o tym, jakie granice, jakie możliwości wytwarzać. Czy można by zatem nasze stanowisko zamknąć w formule, że „nie może nas tam nie być”? Właśnie tak.

Trzeba sobie najpierw wyobrazić nasz wyjazd. Jechaliśmy moim samochodem, mamy nieustanną eskortę, której usiłujemy uciec. Wiedzieliśmy, że nie dojedziemy drogą normalną, jechaliśmy więc klucząc przez Toruń, Bydgoszcz, boczne drogi, drogi polne, co pewien czas byliśmy przejmowani przez inne ekipy obserwacyjne, kontrole dokumentów. I mieliśmy wrażenie ściganych, uciekinierów, jadących z misją, która ma wielkie szanse realizacji... Między oddaniem listu w KC a wyjazdem do Gdańska przez cały czas byłem obserwowany. I potem ustawiczna inwigilacja. Przesłuchanie było dosyć dziwne, dlatego że było fikcyjne, nie dotyczyło w ogóle sprawy apelu, dotyczyło wyłącznie TKN-u. Była to wyłącznie rozmowa zastraszająca.

Podróż zatem była męcząca, długa, [...] odbywała się nie w klimacie przygody, a w klimacie strachu. Potem nagle znaleźliśmy się w jednym z klasztorów gdańskich; uważaliśmy, że trzeba jakiś kontakt nawiązać. Zaczynamy tam rozmowę i mamy wrażenie, że się nie rozu-

miemy. Mówimy, że właśnie chcielibyśmy się dostać do stoczni. – No to się dostańcie, to idźcie! A myśmy się zastanawiali, jak to zrobić, jakich forteli użyć, żeby uciec obstawie, przedostać się do środka. Nasi rozmówcy z klasztoru bardzo długo nie mogli nas zrozumieć, dopiero po pewnym czasie powiedzieli: – No to dobrze, włożymy cywilne ubrania i pójdziemy spacerem... I dopiero w tych pierwszych dziesięciu minutach spaceru zmieniliśmy się jakby wewnętrznie, ze ściganych, uciekających... nagle przeszliśmy przez wolne miasto Gdańsk i weszliśmy do stoczni...

Gdy weszliśmy, ten, który nas przywitał i który pozostał przyjacielem wspólnym Mazowieckiego i moim do dziś, powiedział: – Aha, to wy z Warszawy, tak, list intelektualistów, to zaraz pójde do Lecha... Po chwili wrócił, wprowadził nas. Odbywało się posiedzenie prezydium MKS-u...

Jest to wrażenie jakby zupełnie nierealne. Te białoczerwone opaski, straż, brama, wchodziliśmy tam późnym wieczorem, tłum dokoła bramy, wozy milicyjne z daleka, grupki cywilów trzymające się raczej z daleka i coś takiego w tej stoczni dla nas niezwykłego. Byliśmy bardzo zmęczeni tymi ostatnimi dniami i trochę też tym stanem napięcia. I wchodzimy na salę... taką wolną..., w której głównym problemem jest to, że trzeba by dać coś zjeść tym ludziom, bo już bardzo długo siedzą, że oni przecież są głodni. A przecież oni jeszcze o czymś ważnym rozmawiali... Przekazaliśmy zaraz nasz apel, apel został odczytany, owacja taka wzruszająca...

Czy myśmy już tę naszą misję wypełnili, czy nie?... Z misji – ostrzeżenia nie zostało nic! Dlatego że apel został odebrany jednoznacznie jako poparcie! Oto kto jest z nami! Myślę, że nasze nazwiska pod apelem różnie działały, niektóre były znane, inne nie były znane, ale było wiadomo, że to są ci artyści, pisarze, profesorowie, filmowcy, działacze Klubu Inteligencji Katolickiej, dziennikarze i ten fakt właśnie został gorąco, serdecznie odebrany – jako poparcie.

Rozmawialiśmy, słuchaliśmy i z wolna jakby temperatura na wewnętrznych termometrach rosła... Znikło zmęczenie... Oto coś się dzieje, coś takiego, czego żadne intelektualne czułki nie są w stanie wyczuć, zmierzyć.

I wtedy przychodzi do nas Wałęsa. Wiemy o nim to, co wiedziała Warszawa, znamy te plotki, że Biuro Polityczne zastanawiało się, kto to taki ten Wałęsa, i że jest taki właśnie lider. Ale gdy się wchodzi do tej sali BHP,

to czy jest tam akurat Wałęsa, czy go nie ma, to jest on stale obecny, mówiło się o nim „Lechu”, wspominało się, że „Lechu powiedział”, „Lechu przyjdzie za godzinę”, obecność jego była taka oczywista.

Pierwszy z nim kontakt. Wpada do nas, wychodzi z zebrania prezydium MKS-u, zmęczony, wysłuchuje nas. Bierze ten apel, który mu wręczamy, trochę mu mówimy o nazwiskach, żeby wiedział, kto jest kto, Lech słucha, mam wrażenie, że może trochę nawet nieuważnie, był strasznie zmęczony, wysłuchał wszystkiego i powiedział: – Ja się bardzo cieszę, że przywieźliście ten apel, będziemy go czytać jeszcze wszyscy, zastanowimy się nie tylko nad tym, kto to podpisał, bo to na pewno przyzwoici ludzie i cieszymy się, że Warszawa jest z nami, i ja rozumiem, że to, coście w tekście napisali – też ma znaczenie, i nad tym musimy się zastanowić i jeszcze będziemy o tym gadali. Ale listów, apeli to my mamy bardzo dużo. Natomiast pomocy mamy mało. A ta władza ma wszystko za sobą. Jak zrobić, żeby oni nas nie wykołowali? W tym nam możecie pomóc...

Byliśmy trochę zaskoczeni tym pytaniem. Mówię: – No, wie pan, my reprezentujemy tutaj środowisko intelektualistów, intelektualiści mogą występować w różnych rolach społecznych: jako obywatele i jako eksperci, którzy działają w różnych dziedzinach... Kończąc zdanie, a jego już nie ma! Nie bardzo rozumiemy z Mazowieckim, co się stało, dlaczego nas opuścił tak nagle, bo rozmowa była miła, serdeczna, a z niego jakby zniknęło zmęczenie. A on wraca po pięciu minutach z karteczką papieru i mówi, że prezydium MKS-u powierzyło nam dwóm zadanie sformowania grupy ekspertów!

Był to dla nas grom z jasnego nieba. Po pierwsze dlatego, żeśmy się nie spodziewali, po drugie dlatego, że zdaliśmy sobie natychmiast sprawę z tego, co to znaczy! Chcieliśmy jeszcze z Lechem wtedy porozmawiać, żeby uzyskać jakby... no, nie powiem – instrukcje, ale żeby wiedzieć, co oni rozumieją pod tym sformułowaniem, że mamy stworzyć grupę ekspertów.

A on powiedział: – Ja jestem strasznie zmęczony, a wy się na tym na pewno lepiej znacie niż ja, od tego macie głowy, dacie projekt – propozycję, we wszystkim pomożemy, do roboty, panowie!

I zanim zdołaliśmy uświadomić sobie, co się stało, Lecha nie było, bo już przyszedł Henio, który wziął go pod rękę i powiedział: Lechu musi iść spać! I rzeczywiście na trzech krzesłach w małej salce ułożył go i owinął

kocami, a myśmy wrócili na tę wielką salę, na której ludzie koczowali, gdzie wszystko wirowało, ale już z takim poczuciem, że nie wystarczy zobaczyć, zrozumieć, tylko że teraz od nas czegoś oczekują, w każdym razie czegoś niezwykle trudnego. Dopiero w tym momencie zaczęliśmy z Mazowieckim rozmawiać o tym, co powinniśmy robić z tym mandatem, którym nas obdarzyło to grono ludzi.

Przedstawienie nas na tej sali nastąpiło później, wtedy tylko Lech przyniósł nam tę wiadomość, że jest uchwała prezydium w sprawie grupy ekspertów, a reszta miała się toczyć następnego dnia. Przedstawiliśmy propozycję składu grupy ekspertów. Prezydium nam wtedy powiedziało, jakie uzyskało środki pomocy, żeby ściągnąć tych ludzi, a przedstawienie nas MKS-owi nastąpiło dopiero w momencie, gdy już ta grupa ekspertów została uformowana. Zaczynał się ostatni tydzień sierpnia.

Prezydium MKS-u było nie tylko robotnicze. Okazało się przede wszystkim, że działacze robotniczy potrafią myśleć w kategoriach polityki, że dobrali sobie ludzi reprezentujących również inne społeczne środowiska. W punkcie startu nie było więc tak, że przyjście grupy ekspertów zmieniło sytuację. Natomiast nie chcę przesadzać w skromności, w minimalizacji roli naszej grupy. Myślę, że nasza robota była bardzo istotna i że Lech Wałęsa bardzo trafnie wyczuł niepokój strajkujących załóg, kiedy mówił: „oni nas znowu oszukają” – miał doświadczenie własne również z 1970 roku, pewien typ wspomnień i poza tym świadomość, że taka gra polityczna wymaga pewnych umiejętności, które ekipa ekspertów może wnieść. Wreszcie to, co miało znaczenie zasadnicze; problem werbalizacji. Miało to znaczenie zasadnicze dlatego, że chodziło również o znalezienie takiej formy słownej układu, która by zachowała w pełni podstawowy poziom aspiracji wyrażonych w 21 punktach, a jednocześnie wytworzyłaby sytuację, w której nie byłoby ani elementów upokorzenia, ani elementów agresywnych wobec języka panującej ideologii politycznej. Otóż problem werbalizacji okazał się podstawową trudnością. Dzień i noc siedzieliśmy nie nad tym, żeby wymyślić nowe idee i nowe programy, tylko nad tym, jak ująć w formę słowną te ustawiczne utarczki między władzą a komitetem strajkowym. Żeby określić pole, które było polem negocjacyjnym. Każdego dnia po rozmowach trzeba było ustalać, w jaki sposób wyrazić kompromis,

nad którym się dyskutowało. Ale mówię to przecież *ex post*. Wtedy nie mieliśmy pełnej świadomości tej roli, jaką powinniśmy odegrać. Co więcej, odegranie takiej roli wymagało wytworzenia klimatu pełnego zaufania między MKS-em a grupą ekspertów, a klimat ten wytwarzał się powoli. Poza tą pierwszą rozmową z Wałęsą, który, jak sądzę, poczuł do nas zaufanie, i niewątpliwą potrzebą takiej działalności, potrzebne było stopniowe wytworzenie się takiego klimatu, w którym nie byłoby wątpliwości dotyczących naszego miejsca i naszej roli, mianowicie żeby nie było wątpliwości co do tego, iż naszą intencją nie jest uspokajanie rozpalonych robotniczych umysłów.

Klimat ten wytwarzał się z wolna i nie bez kryzysów zaufania. Partnerów ze strony MKS-u poznawałem stopniowo. Przede wszystkim niewątpliwa indywidualność Wałęsy. Działo się to jakby w dwóch seriach wydarzeń i wystąpień. Jedna to kontakt masowy z tłumami ludzi. Wtedy to był człowiek dopiero odkrywany, to było niespodziewane. A druga to rozmowy z komisją rządową – [Wałęsa] był wtedy znakomity. W tzw. rozmowach plenarnych z komisją rządową grupa ekspertów uczestniczyła wyłącznie jako widzowie, niejako zza drzwi. Mieliśmy z nimi kontakt wtedy, kiedy nasi koledzy z MKS-u tego sobie życzyli w czasie przerwy, natomiast same negocjacje prowadziła naprawdę tylko delegacja MKS-u i tu indywidualność Wałęsy naprzeciw [wicepremiera Mieczysława] Jagielskiego rysowała się całkowicie partnersko. A poza tym do dwóch osób z grupy MKS-u (mam na myśli Andrzeja Gwiazdę i Lecha Bądkowskiego) poczułem i największą sympatię, i duży szacunek. Lech Bądkowski odegrał ogromną rolę. W pracy MKS-u, w stylu pracy prezydium, w rozmowach z kolejnymi delegacjami rządowymi. Była to indywidualność bardzo ciekawa, człowiek dużej klasy. Andrzej Gwiazda, drugi inteligent w środowisku robotniczym, wnosił pewien typ doświadczeń grup opozycyjnych z poprzednich lat, pewną umiejętność werbalizacji postulatów środowisk robotniczych, chociaż nie nazwałbym Gwiazdy politykiem. Był nim znacznie bardziej Bądkowski (to indywidualność polityczna), Gwiazda miał indywidualność działacza robotniczego – chodzi mi tu o autentyczność funkcjonowania w tym środowisku i występowania w jego imieniu.

Poza tymi dwoma trzeba pamiętać o dużej roli Bogdana Borusewicza, który nie należał do prezydium,

ale działał wówczas z niezwykłym oddaniem, z mądrą świadomością i bardzo wielką wyobraźnią. Bo to jest człowiek czynu. Do tej pory historia ruchu strajkowego nie doceniła ogromnej roli Borusewicza (poza kilkoma wypowiedziami Wałęsy) w toku tych wydarzeń. Bardzo liczył się również drugi z działaczy stoczniowych – Bogdan Lis, który działał tam jako przedstawiciel pewnego społecznego środowiska, które w ruchu sierpniowym odegrało ogromną rolę, mianowicie środowiska wysoko kwalifikowanej kategorii robotników młodego pokolenia, którzy mają za sobą wykształcenie techniczne, wysoki poziom aspiracji i świadomości. Rola Lisa była bardzo istotna, powiedziałbym, że była istotniejsza, niż to się uwidaczniało w protokołach rozmów.

Ale poza tymi postaciami, które w ruchu Solidarności pozostały i odgrywały w nim później wybitną rolę, w prezydium MKS-u byli również ludzie, którzy potem zniknęli. I w Solidarności jakby się nie odnaleźli. Wspomniabym tu dwóch starszych robotników: jeden z nich, jako jeden z nielicznych starszy, pan [Zdzisław] Kobyliński. Wnosił w tym gronie element generacyjny, innych doświadczeń, także trochę innego myślenia o przyszłości, co było naturalne, bo przekroczył próg 50 lat życia. I drugi – przedstawiciel rafinerii gdańskiej, pan [Tadeusz] Stanny. Obaj w toku negocjacji odgrywali bardzo pozytywną rolę jako taki głos światły i głos kompromisu. Główny przecież problem ruchu spontanicznego i masowego, który odgrywa rolę polityczną, to pogodzić antykompromisowość ruchu spontanicznego z koniecznością kompromisu w sytuacji, w jakiej się on znajduje w ramach politycznej gry. Otóż głos takich działaczy, jak właśnie ci dwaj, którzy później odeszli – w każdym razie z aktywnego działania w kierowniczych gremiach – w okresie strajku był bardzo istotny.

Ten skład prezydium już przed naszym przyjściem był zdolny do kompromisu. Co przez to rozumiem? Pamiętam pierwsze posiedzenia, w czasie których dopiero poznawaliśmy się, byliśmy obserwatorami, kiedy oczekiwaliśmy jeszcze na przybycie kolegów, chcieliśmy zobaczyć, jak pracuje prezydium MKS-u, przy tym od razu zadawano pytania, na które trzeba było jednoznacznie odpowiadać. Ale przede wszystkim obserwowaliśmy. Otóż to właśnie prezydium podejmowało decyzję o wysłaniu delegacji do rozmów z władzami rządowymi. Ono podjęło decyzję bezpośredniego kontaktu telefonicznego z wojewodą [Jerzym] Kołodziejskim. Czyli ten zespół

rozumiał, że trzeba myśleć w kategoriach kompromisu. A druga strona? Jest to nie do zapomnienia. Oto nagle powstała sytuacja, w której ta władza, nazywająca się robotniczo-chłopską, przechodzi przed trybunałem... Te spuszczone głowy to były głowy oskarżonych, którzy mają poczucie winy.

Skład ekipy, która prowadziła negocjacje, był, jak sądzę, bardzo zróżnicowany. Mało znałem środowisko władzy, ale miałem wrażenie, że od samego początku ekipa warszawska uważała za główne źródło oporu i nieustępliwości obecność przy MKS-ie grupy ekspertów z Warszawy. Stąd wyczuwało się dosyć skoncentrowaną nienawiść do zespołu ekspertów, przypisywanie przez władzę temu zespołowi niemal diabolicznej roli. Wyrażało się to w różnych formach. Na przykład aluzje Jagielskiego, który został niezbyt szczęśliwie w trakcie negocjacji zaatakowany w biuletynie strajkowym przy pomocy nie całkiem taktownego dowcipu². Jego reakcja: – Widzę tutaj tę rękę, ja wiem, czyja fachowa ręka tego dokonała! Rozpuszczano wiadomości, był tu oficjalny atak propagandy, że grupa ekspertów, której przypisano od razu przymiotniki odpowiednio politycznie obraźliwe, dąży do zaognienia sytuacji, jednocześnie plotki, że eksperci są nastani przez władzę, że specjalnym samolotem przywieziono ich z Warszawy, że dostali gwarancje... Wszystko to później wracało zresztą wielokrotnie w nieufnościach wobec ekspertów.

A przecież sytuacja osobista ekspertów była złożona. Jeden z członków naszej ekipy, mój przyjaciel Tadeusz Kowalik, był od wielu lat kolegą Jagielskiego. Razem studiowali. W niczym to nie zmieniło stanowiska grupy rządowej.

Jak ocenić rolę ekipy rządowej w toku negocjacji? Jest to przede wszystkim sprawa czołowego negocjatora: Jagielskiego, która nigdy nie została do tej pory poddana ocenie. Sam nie znam Jagielskiego, ale obserwując wówczas działanie tego człowieka, powiedziałbym, że miotał się jakby między dwoma biegunami: poczuciem powinności wobec władz, które go delegowały, i poczuciem pewnej przyzwoitości. Otóż ten drugi element nigdy nie został doceniony. Jagielski odwoływał się w rozmowach w stoczni do pewnych elementów osobistych. Miałem wrażenie, że to była prawda, kiedy mówił: – Chciałbym po zakończeniu tych negocja-

cji móc po latach z moją córką przyjechać do Gdańska i nie wstydzić się podnieść głowy... Tylko że jednocześnie uprawiał tyle marnej manipulacji... Te jego prośby, kiedy chciał uzyskać kontakt z salą MKS-u poza negocjacjami, poza prezydium... Z pomieszczenia, w którym toczyły się rozmowy, zwracał się przez mikrofon: – Czy słyszycie mnie? – żeby usłyszeć brawa, które były brawami wyłącznie stwierdzającymi: tak, słyszymy... Miał złudzenie, że zdoła manipulować tą salą. Niestety, doświadczenie systemowe było jego pancerzem. Otóż w tej sytuacji jego słowa, które były słowami prawdy i jakichś uczciwych intencji, traciły swój sens. Wydawały się również tylko zabiegiem manipulacyjnym.

Myszę, że Jagielski chciał doprowadzić negocjacje do pozytywnego rezultatu, najlepszego dla jego strony. I to jest naturalna postawa negocjatora. Miał pewną możliwość działań określoną przez tych, którzy mu udzielili swoich plenipotencji i w ramach tych działań starał się uzyskać jak najwięcej. Uzyskał bardzo mało. Późniejsze jego losy świadczą, że właśnie tak została jego rola w stoczni oceniona. [...] Ważna była rola gdańskiej grupy. Mogę mówić o [Tadeuszu] Fiszbachu i Kołodziejskim, których widziałem w działaniu w roli pozytywnej. Przez cały czas reprezentowali drugą stronę, ale zachowywali się partnersko wobec strony robotniczej. Oni po prostu zdali sobie sprawę z powagi sytuacji. Zнали jej elementy i wiedzieli, że np. nasyłanie łodzi z wódką i inne prowokacje nie mają znaczenia. Że tu chodzi o coś bardzo poważnego, przeciwko czemu trzeba wyjść z równie poważnymi propozycjami. Zdanie sobie sprawy z powagi sytuacji prowadziło do tego, że front negocjacyjny był wysunięty przez gdańskich negocjatorów daleko do przodu wobec żądań robotników. Nie dotyczyło to całego składu delegacji rządowej. Sądzę jednak, że na postawę Jagielskiego i zatem na generalną postawę ekipy rządowej wpływ tych ludzi gdańskich z establishmentu był bardzo istotny. Poza tym wymienić mogę tylko jednego z ekipy rządowej – kierownika wydziału KC [PZPR] Jerzego Zielińskiego, który przez cały czas negocjacji antagonizował drugą stronę. W gruncie rzeczy jego wypowiedzi były prowokacjami. Za każdym razem, gdy rysował się kompromis, jego wystąpienie powodowało agresję z drugiej strony. I to musiał temperować przewodniczący delegacji rządowej. Jak sądzę, nie byli

² Zob. artykuł Ewy Milewicz *Ja, happening, stocznia* w niniejszym numerze „Wolności i Solidarności”.

w stanie robić tego ludzie z Gdańska – Zieliński był bądź co bądź członkiem Sekretariatu KC, jednym z czołowych przedstawicieli grupy rządowej.

Takie to były bieguny. Ale była też trzecia grupa, mianowicie grupa doradców rządowych. Gdy komitet strajkowy powołał ekspertów, Jagielski oświadczył w dosyć zjadliwym przemówieniu, że domaga się odroczenia rozmów, ponieważ oni także muszą ściągnąć swoich ekspertów. I uczynili to. Wśród ekspertów strony rządowej był prof. [Antoni] Rajkiewicz, który odegrał istotną rolę w kryzysowym momencie negocjacji. Mianowicie Rajkiewicz, wówczas doradca Gierka, opowiedział na zamkniętym spotkaniu o swojej rozmowie z Gierkiem. Była to – według jego słów – wielogodzinna rozmowa, której przedmiotem nie były instrukcje dla ekipy rządowej, tylko próba analizy sytuacji, w której on, Rajkiewicz, mówił o nowym fenomenu, mianowicie o aspiracjach młodych generacji, zwłaszcza robotniczych. W rozmowie tej ze strony Gierka padły także słowa o tym, czego on nigdy nie zrobi w obliczu wybuchu niezadowolenia robotniczego: nigdy nie użyje broni. Otóż było to bardzo istotne, dlatego że to stwarzało możliwość [...] negocjacji. Obie strony miały świadomość, że są granice, których nie można przekroczyć i z obu stron sformułowano intencję porozumienia. Dojścia do takiego miejsca, w którym obie strony by się spotkały. Rajkiewicz odegrał istotną rolę w przekazywaniu postulatów uznawanych przez stronę rządową za niezbędne imperatywy. Ważny jest fakt, że nie były to negocjacje, by tak rzec, gabinetowe, bo w atmosferze gdańskiej na to nie było miejsca.

Muszę powiedzieć, że nie mieliśmy od początku jasnej świadomości, iż nie ma miejsca na negocjacje gabinetowe. Sądzę, że nasza grupa ekspertów akceptowała by to. Bardzo szybko zdaliśmy sobie sprawę, że wówczas naruszylibyśmy to, co określiliśmy jako żelazną zasadę naszego działania: my nie jesteśmy między stronami, my jesteśmy po stronie robotników. Miały miejsce jedynie kularowe wymiany zdań, a nie gabinetowe negocjacje. Dotyczyły one pierwszego punktu porozumień oraz końcowego przemówienia Lecha Wałęsy. Tłumaczyliśmy zresztą stronie rządowej, iż w tej sytuacji społecznej szansę kompromisu daje tylko całkowicie publiczny charakter rozmów.

W przypadku pierwszego punktu porozumień istnieje sprzężenie między polityczną formułą ustrojową za-

wartą w konstytucji o znaczeniu kierowniczej roli PZPR oraz formułą dotyczącą związków zawodowych. Dlatego uzyskanie *consensusu* na ten 1. punkt było przełomowym momentem w negocjacjach gdańskich. Przełomowym również w tym sensie, że z uzgodnioną propozycją 1. punktu Jagielski pojechał do Warszawy. I ten 1. punkt w formule zaproponowanej przez nas pozwolił na uzyskanie akceptującej decyzji plenum KC. Reszta była negocjacyjnym problemem, natomiast generalna polityczna koncepcja ważyła się wokół punktu 1.

Rola naszej grupy ekspertów była zasadniczą dla sformułowania punktu 1. Bo to był punkt polityczny. I z perspektywy patrząc, sądzą, że w tej sprawie używany został kompromis jak na ówczesne możliwości optymalny.

Przy dochodzeniu do formuły, która byłaby formułą zachowującą to, co najważniejsze w robotniczych aspiracjach i dającą jednocześnie niezbędną gwarancję dla władzy, w znalezieniu tej formuły, w jej określeniu, zasadniczą rolę odegrał Tadeusz Mazowiecki, który wnosił także do zespołu ekspertów długie doświadczenie nie tylko polityczne, ale również dotyczące umiejętności dochodzenia do pewnych kompromisów. Takiego doświadczenia nie miał nikt inny w tym zespole. Nie obyło się bez konfliktów. Chodziło przede wszystkim o wprowadzenie zasady uznania kierowniczej roli PZPR i sojuszków. Zzymaliśmy się na to z wielu względów, m.in. dlatego że skoro powiadamy, że uznajemy konstytucję, a to jest w niej zapisane, po co to jeszcze powtarzać? A jednak trzeba było, bo to było właśnie dla drugiej strony ceną, za którą uzyskać mieliśmy drugą część punktu 1. dotyczącą związków zawodowych. Padały także zarzuty, że użyliśmy sformułowania „kierownicza rola PZPR”, podczas gdy niegdyś prawnicy uznawali za ogromne osiągnięcie, iż w tekście konstytucji ta formuła zastąpiona została określeniem „przodująca rola”. Otóż nie było to przeoczenie z naszej strony. Przeciwnie, w tej propozycji była, i nadal tak sądzą, trafna intencja nieużywania języka odmiennego od rzeczywistości społecznej. Otóż w rzeczywistości społecznej istniał monopol władzy sprawowany przez PZPR. Formuła o „kierowniczej roli PZPR” stwierdza, że nowy układ nie naruszy tego monopolu władzy, który jest elementem systemowym. Natomiast podstawową sprawą w tekście porozumienia było określenie granicy tego monopolu: otóż było nią życie społeczne uwolnione spod monopolu.

Można powiedzieć, że w ten sposób wprowadziliśmy właśnie kwadraturę koła, a nie ma możliwości, aby istniał monopol polityczny i jednocześnie wolne społeczeństwo. Ale podjęliśmy tę próbę nie z powodu własnej naiwności ani z braku wyobraźni. Zrobiliśmy to w przekonaniu, że w takiej sytuacji społecznej wyzwoli się pewien proces ewolucyjny, w którym z wolna obie strony będą określać niezbędne granice. Tzn. strona sprawująca monopol zda sobie sprawę, gdzie jest granica egzekwowania tego monopolu. I sama w obronie swego interesu będzie ten monopol ograniczała.

Doświadczenie następnych 15 miesięcy wcale temu nie zaprzecza. Kwadratura koła zarysowana tym wstępnym założeniem miała jeden element, który jest poza zasadami geometrii. Mianowicie czas. Takie było nasze założenie. Element czasu likwidował kwadraturę koła. Element czasu był szansą. Ale pod warunkiem uruchomienia procesu, w którym obie strony byłyby skłonne do akceptacji i realizacji zawartego porozumienia. 15 miesięcy to było bardzo dużo i bardzo niewiele. Zbyt mało, żeby władza utraciła nawyki monopolu i żeby dostosowała się do nowej sytuacji. Ale jednak to był okres, w którym ta wstępna, pozornie naiwna i nierealistyczna nadzieja znajdowała nowe argumenty.

Drugie skrzydło punktu 1. porozumień to sprawa związków zawodowych, ich koncepcji. Otóż myśmy niejako zastali w Gdańsku sytuację, w której padło sformułowanie: żądamy wolnych związków zawodowych. I zastanawialiśmy się... Otóż wszystkie doświadczenia generacji, które były reprezentowane w grupie ekspertów, mówiły, że jest to postulat absolutnie nierealny. Rozpoczynając od nazwy. „Wolne związki zawodowe” kojarzyły się z Międzynarodówką Wolnych Związków Zawodowych, z historią tego ruchu i jednoznacznie zdawały się być instrumentem niezwykle agresywnym wobec systemu. [...] Zatem zaproponowaliśmy formułę „niezależne, samorządne” jako formułę negocjacyjną, myśląc, że „niezależne” nam zabiorą, a zostaną „samorządne”. Natomiast w toku negocjacji Lechowi Wałęsie spodobała się ta nazwa, oba przymiotniki, mimo że powiedzieliśmy, iż traktujemy je jako przetargowe, bo zapewne zostanie jeden...

W toku negocjacji strona rządowa rzeczywiście zakwestionowała te przymiotniki: – No po cóż dwa określenia, zostawmy samorządne związki zawodowe. Uważaliśmy, że już osiągnęliśmy zakresły przez

nas kompromis. Ale Wałęsa wtedy powiedział: – Panie premierze, szkoda panu jednego słowa, to tak ładnie brzmi, przecież mają być niezależne, więc niech się nazywają niezależne. Chwila milczenia... owacja sali. Oba przymiotniki przeszły! Ale skoro Wałęsa upierał się przy słowie „niezależne”, to przecież dobrze wiedział, że jest to oczekiwanie załóg i żądanie to wisi na sali, gdzie siedział cały MKS, i że innej propozycji ta sala by nie poparła.

No tak, myśmy tej świadomości nie mieli. Sądziliśmy, że słowo „samorządne” mówi o tym samym, przecież „niezależne” i „samorządne” znaczy to samo! Ale przecież cała ta koncepcja nie była tak oczywista i nie sprowadzała się do dwóch przymiotników. Byliśmy przekonani o niewielkiej szansie realizacji postulatu dotyczącego związków zawodowych. W tym systemie istnieje przecież cała nauka o transmisji partii, przecież związki zawodowe to jedna ze struktur łączących ten blok!

Pierwsza rozmowa na ten temat z prezydium MKS-u... Najpierw długie debaty w gronie ekspertów, prawie w ogóle nie spaliśmy, siedzieliśmy po 23 godziny na dobę. I postanowiliśmy, że jako zespół doradczy i usługowy o niczym nie będziemy przesądzać. Postawiliście nam pytanie: co robić, wobec tego odpowiadamy wam, jakie są możliwości. Odpowiadamy alternatywnie, a wy decydujcie. Przecież taki miał być układ. To wy, MKS, jesteście instytucją decydującą!

Propozycja ta została przez prezydium bardzo dobrze przyjęta. Powiedzieli: – Dobrze, ale ponieważ ma być dyskusja wewnętrzna, a na tej sali nie ma takich możliwości, musimy zapewnić odpowiednie warunki. I znaleziono miejsce na terenie stoczni, które było całkowicie bezpieczne. Najpierw proponowano, żeby to spotkanie dyskusyjne odbyło się na jednym z budowanych statków, bo taki statek jest poza możliwością nasłuchu, ale okazało się, że nie jest. Znaleziono wreszcie miejsce, które było poza zasięgiem policji. Zebrało się tam prezydium MKS-u, zaproszono dodatkowo kilka osób, a zespół ekspertów przyszedł z dwoma dokumentami. Jeden dokument proponował: tworzymy niezależne, samorządne związki zawodowe. Drugi dokument: użyskujemy od strony rządowej uniezależnienie polskiego ruchu zawodowego od monopolu władzy politycznej, co oznacza, że utrzymujemy CRZZ, ale zmieniamy skład władz i strukturę ruchu zawodowego, to znaczy czynimy go autentycznym.

Referowałem obie te wersje w taki sposób, żeby za obiema propozycjami przemawiały równie mocne argumenty za i równie mocne przeciw. Zatem nie było dwóch referentów różniących się poglądami, ale zaprezentowaliśmy dwa równoprawne stanowiska. Z tym że debaty ekspertów prowadziły raczej ku przekonaniu, iż droga poprzez zmianę od środka struktury CRZZ jest bardziej realistyczna, a w każdym razie ma za sobą argumenty i umożliwia osiągnięcie tego samego. Nie narusza się przy tym nazw, do których druga strona jest tak przywiązana.

Rozpoczęła się dyskusja. Jedna z najciekawszych dyskusji, w których uczestniczyłem. Dyskusja była długa, przeciągała się, górę brało przekonanie, że w CRZZ jesteśmy w stanie zmienić wszystko, bo gdy tylko wprowadzi się element demokratyczny, to będą to nasze związki zawodowe, nazwa pozostanie ta sama, ale przecież treść będzie całkowicie inna!

Po pierwszej części dyskusji zaczęły się wystąpienia odwołujące się do historii, mianowicie chodziło o rok 1970. Przypomniano, jak to właśnie w 1970 roku w zasadzie były niemal takie same propozycje: zmienić CRZZ! I co z tego wyszło? W rezultacie jednoznacznie przeważał pogląd, że do tych starych beczek nowego wina się nie należy! Było to bardzo interesujące, bo na ogół młodsze pokolenie było bardziej bezkompromisowe, trudniej akceptowało kompromis, natomiast w tej sprawie stało się odwrotnie: nieustępliwi byli starsi członkowie MKS-u, bo pamiętali rok 1970 i to, jak ich wtedy oszukano!

Lektura postulatów szczecińskich z 1970 roku jest niezwykle interesująca! Przecież tam wtedy wszystko było! Przecież jeśli porównać sierpień 1980 z grudniem 1970 – to jakby historia się powtarzała, jeśli idzie o postulaty! Otóż ci starsi wiedzieli w 1970 roku, czego wtedy chcieli i wiedzieli też, że nie potrafili tego wywalczyć. Nastąpiła więc w tej sprawie zmiana sytuacji w debacie i stało się dla nas jasne, że nie ma mowy o tym, żeby niżej opuścić poprzeczkę niż stworzenie nowych związków zawodowych. I choć mogło nam się to wydawać nierealistyczne, to prezydium MKS-u oświadczyło: albo dają nam własne, niezależne związki, albo nie zgadzamy się!

W toku tej dyskusji zresztą bardzo interesująco układały się stosunki między grupą ekspertów a prezydium. Postanowiliśmy wystąpić w klasycznej roli: my wam słu-

żymy, oto co potrafimy wymyślić najlepszego: argumenty za, argumenty przeciw. Kiedy w gronie prezydium zarysowały się opcje dla obu tych wersji i można było już podawać je pod głosowanie, ktoś z prezydium wstał i zwrócił się do nas: – Proszę panów, wy to jesteście od myślenia, ale wy przecież jesteście z nami! Powiedzieliście, ale co to znaczy, że wy nie macie własnego zdania? Macie przecież własne zdanie na ten temat i bardzo prosimy, żebyście je nam przedstawili! Wasz udział jest równorzędny z naszym. Wy nam mówicie: takie są za, takie są przeciw, no ale przecież wy jesteście albo za, albo przeciw! Na czym wy stoimy?

Okazało się, jak bardzo płynne jest pojęcie „eksperti”, które przecież pojawiło się przypadkiem, i jak płynne jest nasze poczucie służebności wobec instytucji, która ma mandat, bo tak naprawdę liczy się, po której stronie się jest! Jeśli jesteś po tej stronie, to musisz działać i umysłem, i sercem. Myślę, przypominając sobie nasze ówczesne poglądy, że weszliśmy na tę salę z innym zdaniem niż to, które wykształtowaliśmy w sobie w trakcie dyskusji. Otóż pogląd, jaki wyrobiliśmy sobie w trakcie dyskusji, był właśnie taki: albo wolne związki zawodowe, albo tracimy wszystko, przegrywamy! Kompromis może dotyczyć różnych spraw: pieniędzy, rewindykacji materialnych, natomiast tej sprawy kompromis nie może dotyczyć, tu poprzeczka jest ustawiona w nieusuwalny sposób.

I zapadła decyzja. Decyzja, która, wydawało się, zablokuje szansę dojścia do porozumienia. A jednak przy połączeniu w negocjacjach sprawy związków z drugim skrzydłem punktu 1. okazało się, że kompromis jest możliwy. Przyjęte zostało imperatywne żądanie strony robotniczej – wolne związki zawodowe. Natomiast MKS zaakceptował to, co za swój imperatyw uważała strona rządowa: uznanie kierowniczej roli partii.

Gdy pierwszy punkt porozumienia został ustalony, mieliśmy świadomość, że po raz pierwszy w tym tunelu pojawiło się światło. Mogę mówić oczywiście tylko o własnych ówczesnych wrażeniach i odczuciach, ale miałem bardzo sceptyczne przekonanie, że szansa kompromisu z władzą jest albo niemożliwa, albo bardzo mało prawdopodobna. I jednocześnie wydawało mi się, że trzeba próbować! Trzeba próbować do końca! Bez przerwy przecież docierały do nas wieści o tym, że to już, że już za chwilę, że już wchodzi od strony morza czy od strony lądu... Było bardzo istotne, żeby nie

poddać się tego rodzaju presji. Dlatego w pewnym momencie zażądaliśmy zupełnie oddalonego lokalu, żeby mieć możliwość spokojnego dyskusowania nad sformułowaniami, nad tekstami, jakby w oderwaniu od coraz bardziej zaostrażającej się atmosfery w zamkniętej murami stoczni. MKS miał przecież swój system obserwacji wzrokowej i elektronicznej, w związku z czym docho- dziły do nas wiadomości o ruchach wojsk, o przygotowa- niach, które były prowadzone. Otóż chodziło o to, żeby uwolnić się od tej presji, żeby uwolnić się także od tego zakodowanego realizmu warszawskich środowisk politycznych czy intelektualnych, od tego realizmu, którego poprzeczka była zbyt nisko; żeby uwolnić się spod tych dwóch presji i dostosować się do tego, czego oczekiwała nasza strona, przyjmując niejako ten robot- niczy realizm, który wyrażał się w poglądzie: albo to do- staniemy, albo nie ma o czym gadać! Bo to znaczyłyby, że przegrywamy.

Czy był szantaż rozwiązania siłowego ze strony rzą- dowej? Nieustannie. Były to zawsze jakieś aluzje i za- wieszenia głosu: – No, skoro tak... sami chcieliście... Ale jeden raz zostało to wyraźnie wypowiedziane. Wprost i bezpośrednio. W przeddzień podpisania porozumie- nia. Tekst porozumienia w zasadzie już jakby mamy. Podstawowe znaczenie przywiązywaliśmy do punktu 1., a pozostało jeszcze 20 następnych i o ile w ten pierwszy punkt zainwestowaliśmy niezwykle dużo, w jakimś sen- sie zainwestowaliśmy więcej niż mieliśmy, to o pozosta- łych punktach nie mógłbym tego powiedzieć. Dla pierw- szych pięciu punktów politycznych mieliśmy pokrycie w konfliktowej i wybuchowej sytuacji i wiedzieliśmy, że jeżeli tu nic nie uzyskamy, to w ogóle nic nie uzyska- my. Gdy mieliśmy więc już ten pierwszy punkt, deba- towaliśmy nad następnymi. W różnych innych punk- tach spośród 21 postulatów jest trochę niedociągnięć, niedoinwestowania z naszej strony, byliśmy zmęczeni, staliśmy wobec ogromnego zadania, część dyskusji pro- wadziły mniejsze podzespoły negocjacyjne, nie zawsze nasza grupa...

Dochodzimy więc do ostatecznego momentu zakoń- czenia pracy nad całością, kiedy przychodzi wiadomość, że Szczecin już podpisał porozumienie! Wbrew układo- wi zawartemu między jednym i drugim MKS-em. Wła- dze zerwały łączność telefoniczną między Gdańskiem i Szczecinem wbrew przyrzeczeniom. A przyrzekali, że łączność telefoniczna będzie stała i że samochód rzą-

dowy będzie przewoził łączników jednego i drugiego MKS-u. Łączność przerwana, porozumienie w Szczecinie zawarte, a zespół negocjacyjny dyskutuje już o drob- nych sprawach technicznych – chodzi o sformułowanie punktu dotyczącego mszy w radio.

Sformułowanie tego punktu jest już ustalone i cho- dziło tylko o ostateczną redakcję. Władza tę kwestię formalizowała: – No jak to, Kościół nie złożył oficjalnie propozycji w tej sprawie, może by to sformułować tak, że „pragnieniem naszym jest, żeby...”. – Ale przecież – argumentowała strona robotnicza – doszliśmy już do porozumienia, że msza będzie, a jak to się zrobi, to po- tem będą się nad tym kompetentni ludzie zastanawiać... Ze strony rządowej prowadził na ten temat rozmowy wojewoda Kołodziejcki. I nagle bardzo ostro zabrał głos [Adam] Łopatka: że to w ogóle nie wchodzi w grę, stro- na rządowa nie ma w tej sprawie kompetencji, że byłoby to naruszenie zasad konstytucyjnych, równości wszyst- kich wobec prawa i wszystkich wyznań, że on zresztą uważa, że Kościół sobie tego nie życzy, bo jeśli msza będzie w radio, to wierni przestaną chodzić do kościo- ła i kościoły opustoszeją, wobec tego trzeba po prostu usunąć punkt o mszy. Na to replikowaliśmy, żeby wła- dza się nie martwiła o wypełnienie kościołów, a stwier- dzenie, że Kościół wcale nie chce mszy, jest nieprawdzi- we; strona rządowa dobrze wie, że Kościół występował o mszę w radio i nie uzyskał na to zgody, zresztą nic prostszego jak sprawdzić tę sprawę. Odroczyliśmy nego- cjacje, trzeba się porozumieć z sekretarzem Episkopatu. Na to strona rządowa, tzn. Łopatka: – Zdajecie sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdujecie; jesteście cał- kowicie odosobnieni. Szczecin podpisał porozumienie, w całym kraju wygasa napięcie, jesteście tylko jedynym zakładem, który to uprawia, to jest przecież kwestia tylko agitatorów i tych kilkuset, którzy jeszcze siedzą w sali BHP. Władza ma konstytucyjne obowiązki, nie tylko prawa, ale i obowiązki, żeby zachować porządek, wobec historii odpowiada za to, i zastosuje środki, które będzie uważała za niezbędne. Zapewniam was, że uczy- ni to z powodzeniem. Więc jak chcecie...

Tak sformułowanej groźby, tak brutalnie, jasno, bez żadnych aluzyjnych uwag, nie było do tej pory... Reak- cja z naszej strony była równie ostra. Odpowiedź sformu- łował Lis, równie jednoznacznie jak tamten: – Jeżeli pan Łopatka proponuje zerwanie negocjacji, wobec tego zawiadomimy MKS, że rozmowy zostały zerwane. Ko-

mentując informacje Łopatki o stanie rzeczy w kraju, Lis powiedział: – Pan chyba ma złe informacje na ten temat, bo my mamy inne, ale my to mówimy za siebie, w imieniu MKS-u, nie mamy uprawnienia, żeby mówić w imieniu kraju, a jeśli chodzi o MKS, odpowiedź jest taka właśnie. Kończymy na tym negocjacje. Zapanowało milczenie. Po chwili zabrał głos wojewoda Kołodziej-ski i powiedział tylko jedno zdanie: – Akceptuję punkt w sprawie mszy świętej w radio w brzmieniu zapropono-wanym przez MKS.

Czy Łopatka zagrał na własną rękę? Na czyją rękę. Natomiast przypuszczam, że skoro Kołodziej-ski bez trudu zgodził się na ten punkt, zatem wiedział, że leży to w zakresie ich kompetencji, a w każdym razie po-dejmował takie ryzyko, że na siebie bierze przegraną w wywalczeniu przez władzę jeszcze jakiegoś terenu. Łopatka został następnie wyłączony z negocjacji. [...]

Przedłużało się przygotowanie tekstu, bo jeszcze robiono obróbkę stylistyczną i na koniec wąskim gar-dłem okazało się przepisywanie na maszynie. Kiedy za-tem przedłużał się moment podpisania porozumienia, widzieliśmy, jak pierwszy raz Jagielski i delegacja rzą-dowa wyszli na dziedziniec bez straży robotniczej, bo ustawicznie musieliśmy dbać o to, żeby była straż, a tu po raz pierwszy...

Rzeczywiście było wtedy takie całkowite poczucie rozładowania konfliktu i niezwykłej radości... Było po-czucie radości, które dawało się odczuć na całym dzie-dzińcu stoczni. Natomiast nie było pełnej radości w sali. MKS nadal jeszcze pracował, rozmawialiśmy, rodziły się jeszcze sytuacje konfliktowe... Natomiast tam, przez okna tej salki, w której nadzorowaliśmy przepisywa-nie na maszynie, dyktowaliśmy, poprawialiśmy słowa, widzieliśmy spacer Jagielskiego i niektórych członków komisji. Przeciągało się to. Wreszcie postanawiamy Ja-gielskiemu powiedzieć, że to jeszcze potrwa, i Bogdan Lis, wiceprzewodniczący, idzie do niego i mówi, że tekst porozumienia będzie gotowy nie o dwunastej, a o czter-nastej.

Reakcja Jagielskiego była zadziwiająca. Obserwowa-liśmy ją z daleka, a potem Lis nam to dokładnie opowie-dział. Jagielski zbladł i po chwili milczenia powiedział: – Nie wiem, czy o drugiej będziemy mogli to podpisać... Nie wiem, co się w kręgach władzy odbywało, o czym on nigdy nam nie powiedział. W każdym razie coś się tam działo...

No cóż, nie mogliśmy tej atmosfery napięcia wpro-wadzić do pokoiku, gdzie pracowały biedne maszynistki, którym i tak ręce się już trzęsły, trzeba było spokojnie czekać do momentu, kiedy wszystko będzie gotowe. I potem... podpisanie porozumienia. Niezwykłe poczu-cie, że coś takiego się stało... Tak, znajdowałem się wte-dy na sali. Był taki moment – rozpoczęło się już zgromadzenie, już przyszła komisja rządowa i nie wiedzą, co robić, bo wciąż nie mamy tekstu! Czekają cała sala. Wresz-cie z Mazowieckim przynieśliśmy te teksty do podpisu, trzeba ich było wiele egzemplarzy, żeby podpisać mogły obie strony. Wypełniona sala, nastrój oczekiwania, Wa-łęsa, który potrafi żartem utrzymać zgromadzenie – też milczy; było to oczekiwanie na tekst i jednocześnie dźwięczały nam w uszach słowa wypowiedziane przez Jagielskiego: – Nie wiem, czy o drugiej jeszcze będzie-my mogli... Maszynistka przepisuje ostatnią stronę jesz-cze raz, bo zrobiła taki błąd, którego nie można inaczej poprawić. Czy to czegoś nie zmienia?

Wreszcie przynieśliśmy tekst na salę, ogromną, wy-pęloną po brzegi, rozjaśnioną światłami reflektorów. W nastroju, powiedziałbym, ciężkiego milczenia, bo oto po raz pierwszy siedziała tam jedna i druga strona i to nie było jeszcze do końca akceptowane przez te sale. Przynieśliśmy tekst, został odczytany, podpisany. Do-piero wtedy po raz pierwszy strona rządowa również uzyskała oklaski. To był bardzo istotny moment. To była jakby akceptacja faktu, że po raz pierwszy siedzą obok siebie dwie strony, które spotkały się oddzielnie i doszły do pewnej zgody. Sala wyraziła więc uznanie stronie rządowej, ale dopiero po podpisaniu porozumie-nia. W tej atmosferze radości, chociaż to słowo może trochę zbyt mocne, zbyt afektowane, wszyscy przeży-wali ogromne poczucie ulgi po tym napięciu, bo przez cały czas to najgorsze wisało na horyzoncie...

Wychodziliśmy potwornie zmęczeni. Wychodziliśmy ze stoczni około szóstej po południu. Miałem pełne poczucie satysfakcji, natomiast radości – nie... Miałem poczucie, że zaczęło się coś potwornie trudnego... strasznie trudnego... Jak to będzie możliwe!... Nie to, czy oni tego dotrzymają, tylko jak będzie możliwe uzy-skać od nich, wymusić, sprawdzić, żeby to, co podpisali, nie pozostało tylko literą przyznaną w momencie słabo-ści, w poczuciu słabości.

Nie byłem wtedy w stanie powrócić do normalnego życia. Taki anegdotyczny fakt – miałem ze sobą korektę

książki, która ukazać się miała we Francji i którą powinienem był zrobić do końca sierpnia. Pomyślałem, jadąc do Gdańska, że gdzieś będę miał możliwość te kilkaset stron przejrzeć... Oczywiście, do 31 sierpnia nic z tego nie wyszło.

Nie mogłem spać w nocy po podpisaniu porozumienia. O czwartej nad ranem następnego dnia pomyślałem: skoro nie śpię, to może lepiej zrobić coś pożytecznego. Próbując więc wrócić do normalnego życia, zacząłem robić korektę książki i nie byłem w stanie. I napisałem tej nocy tekst, który potem wyszedł w formie pierwszego druku MKS-u, mianowicie: *Jak zakładać związki zawodowe*. I dość szczęśliwie się stało. Było to zrobione w formie pytań i odpowiedzi. Otóż tego dnia było przewidziane spotkanie organizatorów komisji zakładowych z Gdańska, miało przyjść kilkadziesiąt osób. Prosił nawet Wałęsa, żebyśmy przyszli na to spotkanie. Postanowiliśmy, że wyjedziemy od razu po spotkaniu, a pójdziemy, żeby zobaczyć, jak to wygląda... Miało być kilkadziesiąt osób, a przyszło kilka tysięcy. Trzeba było najpierw zmienić salę, a wreszcie instalować głośniki na dziedzińcu szkolnym. Potem zaczęło się zebranie. Lech powiedział kilka słów. – A teraz – zakończył – mamy naszych ekspertów i oni wam wszystko powiedzą. Nie uprzedził nas o tym! W tej sytuacji ten tekst bezsennej nocy się przydał, bo po prostu odczytałem go. Napłynęło kilkaset pytań, na które wspólnie udzieliliśmy odpowiedzi, przede wszystkim Lech i koledzy Lecha z prezydium MKS-u. Było bardzo dużo spraw typu prawnego – wątpliwości sytuacyjnych, a myśmy zdali sobie sprawę, że w niczym nie jesteśmy mądrzejsi, ale przed tymi tysiącami ludzi trzeba próbować odpowiadać...

Nie chodziło tu o dawanie instrukcji, bardziej o przygotowanie do sytuacji, w której w wielu sprawach trzeba będzie samemu szukać odpowiedzi, bo dzieje się to po raz pierwszy... A my dajemy tylko próby tych pierwszych odpowiedzi. Miałem zresztą w tym pewną osobistą satysfakcję, historyka, że wśród pytań organizatorów NSZZ, które dotyczyły głównie funduszy, kasy zapomogowej, lokalu, pieczętek, sposobu zbierania składek, relacji z dyrektorem, z głównym księgowym, przychodziły też pytania dotyczące nauczania historii w szkole. I to nie jedno, wiele było pytań dotyczących odkłamywania historii. Sądzę, że pytania nie były wywołane faktem, że Wałęsa powiedział, iż Geremek to publicysta i historyk, nie, sądzą, że nawet gdyby mnie w ogóle

nie było, pytania te padłyby. Były też i pytania dotyczące wolności publicznych, i to formułowane w bardzo konkretnym języku.

I tak nazajutrz po podpisaniu porozumienia gdańskiego rozpoczynała się Solidarność. Tego nie przewidzieliśmy. Wychodząc ze stoczni, mieliśmy poczucie, że coś niezwykle ważnego tu się zdarzyło, z czego nawet jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, ale że coś się zacznie, zacznie się w jakiejś perspektywie czasowej. Następnego dnia pokazał już, co się zaczyna. Ta fala już jest...

Po takich dwóch tygodniach rokowań jest to powrót do innego życia. Wyszliśmy ze stoczni, gdzie tkwieliśmy dzień i noc. *Locum* mieliśmy u ojców pallotynów. Otóż zdarzało się, że wpadliśmy na 2–3 godziny w nocy, żeby czasem się tam przespać, żeby czasem móc porozmawiać przy kanapkach. Wracamy więc po podpisaniu porozumienia do pallotynów, śmiertelnie zmęczeni, w mieście odczuwa się wielkie poczucie ulgi. I w tym mieście gdzieś jest mój samochód, ale gdzie?! Zupełnie zapomniałem, gdzie go zostawiłem. Rozpoczęliśmy wtedy wielki spacer, próbując sobie odtworzyć, gdzie on może stać? I nie odnaleźliśmy go. Dopiero Adam Kersten w trakcie wędrówki po Gdańsku przypadkiem gdzieś go zobaczył...

[...]

Natychmiastowość reakcji na porozumienie była niebywałym zjawiskiem. Świadczyła o tym, jak szybko ten ruch wytwarzał swoje struktury, zupełnie nowe nawyki działania. Świadczy to także o... dobrej woli gdańskich władz, które potrafiły zdobyć się na tak szybką reakcję. Przecież przekazały duży lokal, który natychmiast został opróżniony dla NSZZ i oddany tego samego dnia. Nie chodzi tylko o to, że mogli to zrobić, ale że chcieli to zrobić! Prosty refleks, którego myśmy się spodziewali od samego początku – że będzie opóźnienie, sypanie piasku w oczy – tu w tej sprawie nie było tego...

[...]

Gdańskie władze dawały takie sygnały od początku: wojewoda Kołodziejski umożliwił nam już 23 sierpnia zatelefonowanie do Warszawy. Załatwiło to prezydium MKS-u. Dzwonimy, przekazujemy propozycje, kto jeszcze powinien przyjechać do grupy ekspertów, proponujemy Kowalika, Wielowieyskiego, Cywińskiego, Kuczyńskiego, Staniszkis. Prosimy wojewodę o interwencję, żeby pozwolono im przyjechać. Spróbuję – mówię – zobaczymy, jak to będzie, w każdym razie poczynię

kroki, żeby mogli przyjechać. Mazowiecki i ja uznaliśmy, że trzeba naszych kolegów przyjeżdżających tu niejako uprzedzić o tym, gdzie i w jakiej sytuacji się znaleźli. Dlatego prosimy strajkujących taksówkarzy (Gdańska Rzeczpospolita miała swój transport), żeby czekali na lotnisku, gdy już dostaliśmy wiadomość, że po aresztowaniu na krótko w Warszawie wreszcie ich wypuścili. Bo w ostatniej chwili zostali przez SB zatrzymani na lotnisku „do dyspozycji”. Samolot przyleciał bez nich, byliśmy bardzo zaniepokojeni. MKS wystąpił w tej sprawie do wojewody, wojewoda powiedział, że będzie interweniował. Wreszcie przyszedł do nich na Okęcie pułkownik i powiedział: – Uzyskałem zgodę na wyjazd panów do Gdańska, mogą panowie lecieć następnym samolotem... Ja czyniłem to, co polecono mi czynić... Chcę tylko panom powiedzieć, że cieszę się, że decyzja została zmieniona i że panowie jedziecie...

Kiedy nasi koledzy przyjechali i opowiedzieli nam tę historyjkę z lotniska, prosiłem, żeby taksówka z nimi i nami nie wjeżdżała od razu do stoczni, tylko zatrzymała się przed nią. I zgodnie z naszym postanowieniem, Mazowieckiego i moim, powiedzieliśmy im wtedy, jak sprawa wygląda. Że nie ma żadnej gwarancji dla ekspertów, że eksperci są po jednej stronie, czyli że nie są pośrednikami niezaangażowanymi, tylko że są po stronie strajkujących robotników. I po trzecie – że naszym zdaniem jest to sytuacja najwyższego ryzyka, a szanse

pozytywne są ograniczone. I jeżeli wejdą do stoczni, to niech wiedzą, że stąd nie ma wyjścia nieuczciwego. Natomiast w pełni akceptujemy, jeżeli ktoś uzna, że nie może się tego zadania podjąć... Bo np. Andrzej Wielowiejski swoją osobą angażował w to także Klub Inteligencji Katolickiej, a inny z tej grupy był członkiem partii i bardzo wybitnym ekspertem w dziedzinie prawa. Po zadaniu tego pytania wszyscy poza jednym, poza prawnikiem, „wojskowym krokiem” wkroczyli z podniesioną głową do stoczni... Po prostu powiedzieliśmy, że każda decyzja jest tutaj możliwa i dopuszczalna, i do zaakceptowania – bez kwalifikacji moralnej, tylko że chodzi o rozpoznanie elementów tej decyzji – co oznacza wejście do stoczni? I jeżeli wchodzimy, to jako zespół ekspertów MKS-u, identyfikujący się z komitetem strajkowym. Prawnik, wysłuchawszy tego, powiedział: – No to ja nie wchodzę, dlatego że nastawiłem się na rolę pośrednika, bo wiem, że będę akceptowany przez władze... Zresztą miał on jakieś rozmowy w Gdańsku, pytał o gwarancje, prosił o radę i usłyszał wtedy, że gwarancji pozytywnych tu nie ma, natomiast szanse negatywne są bardzo duże. Został zresztą wówczas w hotelu i zaoferował nam pomoc konsultacyjną przez cały czas swego pobytu, przez dwa dni, i skorzystaliśmy z jego oferty, ponieważ jest to bardzo wybitny znawca i bardzo mądry człowiek. Ten fakt nieźle, jak sądzę, charakteryzuje ówczesne momenty wyboru i miejsce naszej grupy ekspertów na horyzoncie stoczniowym.